

Od autora: No to dojrzałam do napisania czegoś intymnego...

Nie chcieliśmy jeszcze dziecka. Miało być chociaż parę lat „spokojnego życia” po ślubie, podróże, stabilizacja finansowa i dopiero potomek. A więc zabezpieczaliśmy się starannie. Aż tu nagle „wypadek przy pracy” - i dwie kreski na teście. Nasza reakcja na ten widok brzmiała identycznie: „o kurwa!” – i nie był to okrzyk zachwyty...

Ucieszyłam się dopiero, jak zobaczyłam kropkę na ekranie monitora podczas USG. Dotarło do nas, że będziemy rodzicami, że w moim brzuchu rośnie mały człowieczek – wyjątkowy, bo cały nasz – z nas. I wtedy zrozumieliśmy, że poczęcie to istny cud.

Ale od razu się przestraszyłam – przecież ja przez te parę tygodni cały czas ćwiczyłam intensywnie „brzuszek”! Mieliśmy dwie imprezy, na których nie żałowałam sobie alkoholu! Zapaliłam papierosa! Lekarz mnie uspokoił, że na takim etapie, epizodycznymi „wyskokami” nie mogłam dziecku zaszkodzić.

Jak "groszek" miał 5 tygodni, pojechaliśmy w góry. Przeworsowałam się i zaczęłam plamić. Pół dnia spędzone w szpitalu w Żywcu dało mi do myślenia. Dziecku nic nie zagrażało, ale kiedy dotarło do mnie, że mogliśmy je stracić, przeraziłam się jak nigdy w życiu. A gdy podczas USG usłyszałam od lekarza, że „serduszko już bije”, niemal się rozplakałam.

Ciąża przebiegała idealnie, wręcz wzorcowo. Uwielbiałam jego kopniaki. Prawie do samego porodu chodziłam, a nawet siadałam za kierownicą.

Kiedy zdecydował się wyjść ze swojego ciepłego, przytulnego schronienia, nie męczył mnie zbyt długo. Mimo że z powodu szybko postępującej akcji nie zdążyłam dostać znieczulenia, prawie mdlałam z bólu, który wydawał mi się niemożliwy do zniesienia i krzyczałam, że go nie wypchnę – wypchnęłam.

Nie pamiętam, że płakał. Nie zapamiętałam nawet, że przez dwie godziny po porodzie leżał na moim brzuchu, dopiero mąż mi to uświadomił. Przez te przepisowe dwa dni w szpitalu nie mogłam się napiąć na mojego syna. Najpiękniejsze dziecko świata. Ciało z mojego ciała, krew z mojej krwi – dokładnie – nawet grupę ma taką, jak ja. Patrzyłam na tę miniaturkę człowieka i przyrzekałam sobie i jemu, że będę najlepszą matką.

Jednak nie jestem matką idealną. Rzekłabym, że nawet mocno nieidealną. Jestem nerwowa, przewrażliwiona i nazbyt impulsywna. Krzyczę. Teraz już mniej niż kiedyś, ale nadal mi się to zdarza. Posądzam półtoraroczne dziecko o złośliwość. Ale czasem naprawdę wydaje mi się, że robi na złość. Mówię, że ma mnie w dupie. Że gdyby mnie zabrakło, w ogóle by się nie przejął i pewnie nawet byłby zadowolony, bo wtedy wychowywaliby go ojciec i dziadkowie, pozwalając mu na wszystko. I nie krzyczeliby. W chwilach szczególnie silnego załamania uciekam z domu. Najdłużej zdarzyło mi się na pół godziny – przecież nie mogłabym go zostawić.

Potem płaczę, że jestem złą matką. Że nigdy nie powinnam nią zostać. Że gdybym umarła, byłoby dla

niego lepiej, bo wtedy zajmowałoby się nim ludzie, z którymi byłby szczęśliwszy.

Chore myśli odpędza ode mnie jego reakcja na mój widok. Kiedy w swoim szalonym czworaczym pędzie taranuje wszystko, co znajdzie się na jego drodze, by jak najszybciej się do mnie dostać i uwiesić, klęczącej, na szyi, czuję, że jestem całym jego światem. Gdy wspina się do mnie na paluszkach, wczepia małymi rączkami w moje barki i wtula we mnie tak mocno, jakby chciał z powrotem skryć się w moim wnętrzu, zdaję sobie sprawę, że jestem dla niego równie niezbędna jak powietrze.

Tym bardziej cierpię, kiedy go kłują. Odczuwam niemal fizyczny ból, gdy igła wbija się w kolejne miejsce na jego - moim maleńkim, słodkim ciałku. Tak, jakby wbijali ją jednocześnie w moje serce. W jego przeraźliwym płaczu, który, mam wrażenie, słyszać w każdym zakątku szpitalnego molochu, słyszę żal do mnie. Że osoba, której ufa bezgranicznie, jak nikomu na świecie, zamiast go ratować - pozwala krzywdzić. Mam nadzieję, że naprawdę jest za mały, aby to zapamiętać. On jest mokry od łez, a ja - od potu. Z wysiłku włożonego w trzymanie go - jest szczupły, ale bardzo silny i przy wkłuwaniu niewyobrażalnie się szamocze - oraz z tego niefizycznego, a polegającego na powstrzymywaniu się od płakania razem z nim.

Na następny dzień rano musi mieć zrobioną premedykację. Podaję mu środek, który go wycisza i otumania - po chwili wygląda jak naćpany. Nienawidzę tego widoku. Potem muszę go ubrać w o wiele za dużą szpitalną koszulę i zawieźć razem z pielęgniarkami pod blok.

Ostatnio pierwszy raz byłam przy podawaniu znieczulenia. Patrzyłam, jak lekarz wstrzykuje mu w wenflon, do podłączonego przez pielęgniarkę wężyka, przeźroczysty płyn, po którym stopniowo przestaje się szarpać i popada w stan odrętwienia.

- Niech pani poczeka teraz na korytarzu, bo on zaraz zaśnie. - Słyszę.

Całuję go w kolanko i posłusznie wychodzę. Ze łzami w oczach żegnam się. Zawsze się modłę, kiedy mój synek śpi. Proszę wszystkich, którzy przychodzą mi do głowy o to, aby się obudził. Zanim go ochrzciliśmy, prześladował mnie potworny strach, że zaśnie na zawsze, a my nie zdążymy tego zrobić. Teraz jest ochrzczony, ale wcale nie boję się mniej. Dobrze, że wierzę, bo inaczej chyba bym zwariowała.

Chciałabym być silna, ale nie jestem. Jestem tylko twarda. Ale nawet taka twarda zołza jak ja ma swój słaby punkt...

Po jakimś czasie dostaję półprzytomne, jakby pijane dziecko. Czasem z kroplówką, czasem bez. Kiedy widzę, że otwiera oczy, stres uchodzi ze mnie momentalnie, niczym powietrze z przekłutego balona. Kładę się z podkulonymi nogami przy nim, na dziecięcym, szpitalnym łóżku, wtulam twarz w złociste loki i nucę w myślach słowa znanej piosenki:

*I'll stand by you
I'll stand by you
Won't let nobody hurt you...*

Staje się coraz bardziej ruchliwy i wkrótce dochodzi do siebie.

Jutro wyjdziemy do domu.

I będziemy mogli żyć spokojnie.

Przez kolejne parę miesięcy...

Kiedy próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądało moje życie, zanim się pojawił, nie potrafię. Zupełnie tak, jakby był w nim obecny od zawsze.

Nie wyobrażam sobie, abym mogła bez niego istnieć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

aga63, dodano 05.09.2013 08:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.